

„Tyle lat – jakby razem?”

Bogusława Latawiec

Świadectwa

Bogusława LATAWIEC

„Tyle lat – jakby razem?”

Z Tymoteuszem Karpowiczem (w naszym rodzinnym, balcerzanowym języku nazywaliśmy go Karpem, lub Jeżelakiem – często mówił „jeżela” zamiast jeżeli) korespondowaliśmy przeszło czterdzieści lat od 1962 roku. Większość jego listów nie posiada dat. Są jednak tak organicznie związane z naszą i jego twórczością, z publikacjami w pismach, książkami, wydarzeniami kulturalnymi, politycznymi, pracą, wakacjami, nawet porami roku, że udało mi się, przypuszczam, ułożyć je chronologicznie bez większych pomyłek. W latach sześćdziesiątych Karpowicz – poeta i redaktor działu poezji we wrocławskiej „Odrze”, był wśród adeptów sztuki słowa postacią zmitologizowaną. Oceniał, pomagał, drukował. Mieliśmy do niego zaufanie. Dla wielu został Mistrzem.

Zachowały się u nas dwa pierwsze listy Karpowicza z 1962 roku. Odpowiedzi na wysłane do niego, z prośbą o ocenę i druk w „Odrze”, zbiory moich i mojego męża, Edwarda młodzieńczych liryków. Edwardowi napisał: „Dziękuję za pamięć o *Odrze*. Interesuje mnie Pana twórczość. Ale niech Pan ucieka od obcych wzorów. Niech Pan nie ucieka od jasności”. Przyjął do druku trzy teksty. Mnie odpowiedział: „Z dużą satysfakcją przeczytałem Pani wiersze. Są wyjątkowo męskie. Jak na kobietę”. Miałam precyzyjniej gromadzić obrazy, nie wierzyć wielkim słowom, nie operować pojęciami. Przyjął do druku pięć wierszy. W szóstym domagał się zmiany obrazu w antyobraz. To był dopiero początek jego późniejszych nauk. Pobierałam je cierpliwie przez lata. A znawcą procesów twórczych, psychologiem był Jeżelak biegłym – atakował ostro i celnie, jednocześnie chwalać. Zmuszał do wysiłku. Pamiętam, jaka dumna byłam jesienią 1965 roku z oceny mojego cyklu poetyckiego: „*Deszcze* Pani Bogusławy są czyste i piękne – przeczytałam w liście do Edwarda – Zdumiałem się, że z deszczu można robić dobre wiersze. Niech Wam doleje i na przyszłe wakacje”. Ale o innej partii moich tekstów napisał, że są jedynie „repetytoriami

z własnej poetyki”, że „rozluźnia” mi się wyobraźnia, ulegam łatwym schematom, „półśrodkami sprawności stylistycznej” poprawiając „groźną już sytuację”. Wniosek: „Za długo stoi Pani w tym samym miejscu. Coś z tym trzeba generalnie zrobić” – nawet gdyby to miało obniżyć poziom twórczości. Te, które wybrał, obroniły się przed zarzutami. Zakończył ciepło: „Przykro mi, że takie słowa składam Pani pod choinką. Usprawiedliwia mnie to, że tak serdecznie Panią lubię i tak bardzo wierzę w Pani możliwości poetyckie”. Wielokrotnie czytałam te zatwierdzone i odrzucone, starając się zrozumieć, na czym polegają moje kłęski i zwycięstwa. Ów schemat cyklicznie się powtarzał. Choć „gęstość i twardość” moich tekstów często „trochę rozmiękała” i „rozłamywała się językowo”, a „słowa nie wszędzie dziwiły się słowom”, na dobitkę ich pojemności „nie wykorzystywałam do końcowego tragicznego stanu”, to one wciąż budziły jego wiarę, że dobrnę kiedyś „do własnych, czystych źródeł liryki – bez obcego odbicia”. Za każdym razem kilka kropel miodu w beczce dziegciu. Tak było z Karpem i ze mną, tak się toczyło przez lata mojego terminowania.

Od początku Karpowiczowski towarzyszenie naszej twórczości miało również charakter praktyczny – wprowadzał nas w życie literackie, programował przyszłość. Gdy rytm korespondencji rwał się, Karp tłumaczył to kolejnymi kataklizmami walącego się domu na Krzyckiej we Wrocławiu, zmęczeniem („może na trawce wiosennej odpasę się”), wyjazdami, podkreślał, że nadrabia tę lukę „serdecznym raz po raz myśleniem” o nas, „a gdzie można było – działaniem”. Dopiero ostatnio, gdy porządkowałam jego listy, uświadomiłam sobie, jak wielokierunkowe to były działania i jak rzadkie dzisiaj w układach pisarz – pisarz. Rok 1963: „Będąc w PIW-ie rozmawiałem o poezji Pani i Pani męża. Spulchniałem tam dla Państwa grunt. Bo chyba myślicie o wydaniu tomików?”. Rok 1964 do Edwarda: „Dziękuję za *Pobyt*. To nieprzeciętny debiut. Cieszę się, że jest ktoś, kto ma ambicję. Na recenzję w «Odrze» nie będzie Pan długo czekał. Chętnie pokazałobyśmy w «Odrze» jakąś nową Pana prozę. Co Pan na to?”. Rok 1964: wewnętrzna recenzja mojego przyszłego debiutu książkowego dla Wydawnictwa Poznańskiego z końcową konkluzją: „najgorzej zalecam druk”. Pomoc przy selekcji wierszy, ich poprawkach, ustalaniu tytułu: „*Otwierają się rzeki* trochę to sentymentalne, ale znacznie szczęśliwsze od poprzedniego tytułu. I bliższe poprzez *otwieranie* treści filozofii Pani poezji”. Marzec 1965 do Edwarda: „Jeśli Pan zna język francuski, to prawie załatwiłem Panu stypendium z rządu francuskiego (3 miesiące). Proszę tylko błyskawicznie wysłać podanie do Komisji Zagranicznej ZLP”. Jeszcze rok 1965: „Coś jednak trzeba zrobić z tym francuskim. A może zabiegać o wyjazd do któregoś z krajów obozu S.?” Kwiecień 1965: „Na razie będąc w PIW-ie zaklepałem Wam miejsce u Rogozińskiego. Na przyszłe książki. Bardzo się do Was zapalił. Zaczął czytać *Pobyt*”. Maj 1965 do Edwarda po wyjściu mojego tomiku: „Pięknie dziękuję za *Otwierają się rzeki*. Zadbam o to, by miały sensowną recenzję w «Odrze». Pani Bogusława na pewno wygrała swój debiut. Cieszę się. Jest to tomik pełen gęstego srebra widzianego Świata. Może tylko za bardzo widzianego”. 1965 roku do mnie: „Zapewne ma Pani jeszcze inne teksty. Proszę o nie dla «Poezji» (miesięcznik). Wrobiono mnie we współredagowanie tego pisma”. Nadal 1965 roku do Edwarda: „Prześle do «Poezji» Pana wiersze (gęste i do myśle-

nia), oraz esej z teorii i praktyki twórczości. Bardzo Pana zachęcam do teoretycznej roboty”. Wrzesień 1965 do Edwarda: „Pozwoliłem sobie zaproponować Pana kandydaturę do poszerzonego komitetu redakcyjnego «Poezji». [...] Zmusiłem facetów, aby Pańską kandydaturę przyjęli z entuzjazmem. Miło mi również, że był Pan bardzo poważnym kandydatem do nagrody «Odry» – drugim po Worcelu – za *Pobyłt*. W najbliższych latach będzie Pan pierwszym”. Październik 1965 do Edwarda: „Niech Pan przygotuje trochę jądów strukturalistycznych do najbliższych numerów «Poezji». (Ale się nazwała!)”. Kwiecień 1966 do Edwarda: „Dziękuję za furę wierszy wielkanocnych: zaklepuje je łącznie z kwiatkami i ostem (intelektualnym), Pańskie zostają w «Poezji». Gromadziliśmy z p. Mieczysławą B. argumenty, bo prof. J.Z.J. ma drewniane, na tego typu poezję, ucho. Z dziwnym echem wewnętrznym”. Wrzesień 1966: „Wyczerpały się zapasy tekstów «balcerzanowych» w obu redakcjach Nie zapominajcie! Czekam na Pański esej. Czekam na fragment prozy p. Bogusławy. Jeśli coś macie – przyslijcie odwrotną pocztą, bo potem tworzą się kolejki”. Grudzień 1966 do mnie: „Czekam na opowiadania. Kiedy się ukażą w książce? Cieszę się, że Pani nie zaniedbuje prozy. To dopiero uczciwy gatunek. Częstotliwością druku w «Odrze» proszę się nie przejmować: w normie, do obrony. A jeśli ktoś tam pochrząka, no to i co?”. Maj 1967 – wrzesień 1967, w tym okresie Karpowicz ze swoim wileńskim uporem walczył o tekst Edwarda do Leśmianowskiego numeru „Poezji”. Chodziło o interpretację wybranego wiersza poety. Kusił komplementami: „wypróbowałby Pan swoje znakomite narzędzia analizy. Poezja Leśmiana jest zjawiskiem, które jakoś się nie daje zbyć banałem”. Na koniec wymyślił argument nie do odrzucenia: „Więc Drogi Panie Edwardzie – w imię przyjaźni – niech Pan nie odmówi. Strzelam z najgrubszego kalibru, ale boję się Pańskiego nie”. Miesiąc później o stale jeszcze wirtualnej interpretacji: „Myślę, że to Pańskim narzędziom analitycznym bardzo będzie odpowiadało. Czekam cierpliwie. Wycofać się nie można. Jesteśmy zaminowani”. Zmienił nawet „termin nieprzekraczalny” z 31 sierpnia na 20 września. Dwa miesiące później dowcipne przypomnienie: „Ta karczma Rzym się nazywa. Czy pamięta Pan o 20 września?”. W końcu we wrześniu: „Sprawił mi Pan osobistą satysfakcję analizą *Srebronia*. Serdecznie w imieniu własnym, i zespołu dziękuję”. Na Jeżelakowy upór nie było sposobu. Wymuszała teksty. Brak czasu u upatrzzonego autora nie wchodził w rachubę. Sam miał heroiczny model życia (wstawał o czwartej rano) i w potrzebie wymagał tego od innych.

Gdy myślę o tej cesze Karpowicza-redaktora – przypomina mi się Karpowicz-ogrodnik. Kochał pracę w ziemi (to również nas łączyło), była wizualizacją wiecznej wędrówki, odwracaniem istnień: od narodzin do śmierci, od śmierci do narodzin. W trakcie pokonywania kłopotów z cenzurą przy wyborze jego dramatów (Edward namówił go, aby wydał je w Wydawnictwie Poznańskim) napisał: „Nic się nie stanie, jeśli te dramaty znowu powędrują do szuflady. Ważne jest, że drzewa wiosną znowu będą miały liście. Nie ma żadnej ironii w tym zdaniu”. Któregoś roku w jego ogrodzie na Krzyckiej, na długo opuszczonym (remont domu), zamieszkał szczególnie przedsiębiorczy kret. Rozbudował imponującą sieć tuneli. Bezkarnie niszczył kopcami trawnik, podkopywał korzenie młodych roślin, póki

nie dotarł do szpaleru czarnych porzeczek – przyszele wino domowe! Maryla (żona Karpa) powiadomiła nas: – Tymek zasadził się na kreta. – Warował pod krzakami przez tydzień od świtu. W końcu dopadł kreta i wyciągnął na światło dzienne. Maryla musiała, zgodnie z życzeniem męża, wynieść intruza na dzikie łąki. Tam miało być jego miejsce – w ziemi. Po latach, gdy poeta miał już nowy ogród na przedmieściach Chicago, wokół tak samo jak na Krzyckiej, ciągle remontowanej willi, natychmiast sprowadził tam swoją czarną porzeczkę. Nie mógł tego zrobić oficjalnie. Jej uprawa jest w Ameryce zabroniona. Pędy przyleciały z Jeżelakiem owinięte mokrymi szmatkami w nogawkach jego kalesonów. Przyjęły się. Biegły zwycięskim szpalerem wzdłuż ogromnego drewnianego rusztowania, na którym dojrzewały winogrona. Za rusztowanie, w miejscu gdzie według osiedlowej wspólnoty winien zielenić się trawnik, parokrotnie odbierał pisemne nagany. W końcu pokonał wszystkich swoją determinacją i dostał nagrodę za „oryginalną ogrodową instalację”. U jej stóp kwitła żółto dzika plantacja mleczy; drobno posiekane listki miały chronić od wszelkich chorób.

Nami opiekował się z równym uporem jak swoimi ogrodami. W 1971 roku wyznał: „Przyjaciół wybieramy opornie i nie masowo, ale jak już raz wybierzemy – trzeba nie lada katastrofy, zwykle etycznej, by z przyjaciół zrezygnować, zapomnieć (problem mnemotechniczny). A właśnie do przyjaciół zaliczamy Państwa”.

Ostatnimi, przed wyjazdem poety z kraju, ważnymi dla naszej przyszłości wydarzeniami były nagrody, które otrzymaliśmy w 1971 roku we Wrocławiu, gnieździe Karpowicza. Ja w styczniu odebrałam nagrodę im. Tadeusza Peipera za tomik *Cale drzewo zdania*, a Edward w październiku nagrodę „Odry” za *Oprócz głosu*. Prezentem nie do przecenienia stało się dla mnie, również z tego czasu pochodzące, niezwykle wnikliwie, bardzo krytyczne omówienie w liście drugiej wersji mojej powieści *Ujście*. Książka wyszła drukiem w 1976 roku pod nowym tytułem „Ogród rozkoszy ziemskich”. Na tym etapie mojej pracy nad prozą okazała się zwycięstwem zrodzonym z klęski. Gdyby nie Karpowiczowska pomoc i to, że drukował fragmenty *Ujścia* w „Odrze”, nie ukończyłabym tej powieści. Jego celnymi refleksjami dotyczącymi kompozycji, fabuły, języka, wzajemnych powiązań pomiędzy bohaterami obdarzyłam w *Ogrodzie* jedną z głównych postaci – prof. Przewora.

To oczywiście (zwłaszcza w pierwszym pakiecie listów poety, tych od 1962 roku do wyjazdu z kraju w 1974 roku), iż wskazania artystyczne Karpowicza kierowane do nas były tożsame z jego ówczesnym programem twórczym, który z kolei w dużej mierze korespondował z przekonaniem Juliana Przybosa (cykl liryków Karpowicza *Miejsce na ziemi. Miejsce w istnieniu*, poetycka polemika z Przybosiem, ogłoszona w „Arkuszu” w 2002 roku, jest prawdopodobnie ostatnim utworem, który ukazał się za jego życia). Gdyby ów rozproszony po listach zbiór porad poety scalić, wyglądałby on tak: Wymóg oryginalności: trzeba docierać „do własnych źródeł liryki”, wystrzegając się powielania wcześniejszych osiągnięć. Jednolitość formy jest „pochodną rezygnacji”. Nie operować pojęciami. Zawsze są puste „poza Biblią (tam się dokonał dziwny cud ze słowem)”. Nie wierzyć wielkim słowom. Kłamią. Sprawdzając w wierszu słowo po słowie, Słowo powinno się dziwić słowu. Nie ufać peryfrazom,

ukrytemu barokowi. Precyzyjnie gromadzić obrazy. Sprawdząć pejzaże. Ich powiązania. Muszą mieć w wierszach własną, wewnętrzną dramaturgię. Konieczny jest brak zgody na widoczny i odczuwany świat. Ten spójny światopogląd zaczyna wolno około 1968 roku zmierzać ku sądom coraz bardziej rygorystycznym typu: „wszelka połowiczność jest dopiero niehumanitarna. Gnoi człowieka”. Piszac trzeba być „bezwzględny i śmiały. Atakować celniej i okrutniej”. Jednocześnie coraz wyraziściej funkcję przewodnią w jego programie zaczyna pełnić – filozofia. Poeta dostrzega w swoim i naszym pisaniu jej bolesny niedostatek: „Postawić pisarza przed sprawami języka i filozofii i wszystko się wyda”. O twórczości Edwarda napisze: „Jeśli mnie coś niepokoi w Pana wierszach, to rzecz dotyczy raczej braku równowagi między lingwistyką a f i l o z o f i ą, między sprawnością konstrukcyjną a nieśmiałością uderzenia s e n s u”. Marzy mu się, aby krytycy dojrżeli wreszcie w jego poezji to, „co kryje się w sensie filozoficznym za opisywanymi przez nich strukturami”. „Nadal będę tęsknił za analizą filozoficzną tego, co jest za powierzchnią słów”, napisze w 1972 roku do Edwarda po jego recenzji *Odwróconego światła*. Może z tych właśnie jednokierunkowych, jak twierdził, interpretacji jego pisarstwa wyłoniła się wielokrotnie manifestowana niechęć twórcy do zatrzęśnięcia jego dorobku w szufladzie z napisem „poeci lingwistyczni”. Gniewało go, że w antologiach pojawiały się wciąż te same stare wiersze: *Rozkład jazdy* i *Przejście przez las czerwony*. Powtarzał: – Ja nie jestem żaden lingwista! Ja jedynie parę razy spróbowałem, jak można ten program konsekwentnie zrealizować. Spróbowałem i – basta! Nigdy więcej nie zgrzeszę!

W 1968 roku oświadczył: „Przejada się metaforyzacja. Wcześniej, czy później trzeba nam będzie, jak u Rilkego, rachunek ze światem spisać w języku filozofa. Właśnie ta świadomość zabiera mi każde słowo z papieru, kiedy usiłuję pisać”. Prędko zaczął nas wtajemniczać w swoje twórcze rozterki. Już w kwietniu 1966 roku na prośbę Edwarda, żeby przysłał do „Nurtu” nowe wiersze, odpowiedział: „Mgła i proszek w teczkach. Kiedy z tego zaczną się układać pierwsze w miarę sensowne komunikaty «semantyczne», nie wiem”. W środku lat sześćdziesiątych, kiedy pracował nad zbiorem swoich dramatów, pokazał nam na Krzyckiej, na ogromnym biurku stos szarych teczek z napisami: słownictwo, dialogi, przestrzenie, sytuacje, bohaterzy, konflikty, a Maryla poskarżyła się cichutko, że ostatnio wciąż posyła ją do ogrodu zoologicznego, aby od pracowników zdobywała informacje o upodobaniach zwierząt. Z całego kajecika wybrał jedno zdanie: „Żółw połknął główkę kapusty”.

Karpowicz z układu: mistrz–uczeń, bardziej doświadczony w pisarstwie przyjaciel – przyjaciel młodszy, prędko przeszedł (przy zachowaniu wszelkich proporcji) do etapu partnerstwa, wzajemnej ciekawości. W sierpniowym liście z 1965 (okres pracy nad dramatami) Edward przeczytał: „Ja trochę nabroiłem. Męczyłem jeszcze *Człowieka z absolutnym węchem*, bo wydawało mi się, że można mu trochę dodać więcej komórek węchowych. Najważniejsze dodać mu teatralności i pogłębić filozoficznie. Znalazłem sytuację, w której historyczne, pasyjne sceny podróży na grzbiecie ludzkim i dziwne «gędźby» maszyn do myślenia – są zrozumiałe. Chytrze też spreparowałem kategorię czasu i wolności. Kowalski ciągle ma swój

«pierwszy dzień wolności», z którego nie może wybrnąć. Ogromnie jestem ciekaw Pańskiej reakcji na te zmiany”.

W 1970 roku zakończył pracę nad „Odwróconym światłem”. Postanowił udostępnić nam maszynopis, abyśmy sobie sami wybrali wiersze do „Nurtu”. „Słowo się rzekło – napisał – kobyłka u płotu”. Pojechaliśmy do Wrocławia. „Pięknie, że się spotkamy – ucieszył się – trzeba w czasie wzrastającej izolacji od czasu do czasu spotkać się w gronie ludzi bez masek”. Studiowaliśmy wielostronicowy tom po kolacji na Krzyckiej, w hotelu, przez większość nocy. Decyzje były trudne: wybrać wiersze bliskie tym dawnym, modele oswojone językowo, obrazowo konsekwentne, czy pokazać czytelnikom nowe, gruzłowate, chropawe, pełne zaskoczeń i pułapek, zagmatwane. Karpowicza nasz wybór zmartwił. Nie doceniliśmy jego odwagi, skoku w inność. W 1999 roku Wydawnictwo Dolnośląskie wydało ostatnią książkę poety – *Słoje zadrzewne*, w której konsekwentnie kontynuował nową, desperacką estetykę. Gdy pracował nad tą książką, odwiedziliśmy go w domu, na przedmieściach Chicago (międzynarodowa sesja poświęcona Przybosiowi). Na biurku z Krzyckiej, pod biurkiem, wokół biurka leżały dobrze nam znane szare teczki w wielkich, szarych pudłach. – Mam tu cały świat myśli ludzkiej – powiedział – pudła to moja pierwsza palisada, druga to regały, trzecia – okiennice, czwarta – winorośl przed domem. Wtedy już tworzył odgradzony od świata widzialnego, w mroku. On tak dojmująco zmysłowo wpisany w świat, uciekł w czyste, spektakularne myślenie, w kombinacje logiczne, konstruując kolejne wersje swoich dawnych wierszy, kalki, paralaksy, funkcje kąta alfa, przebijając pod nimi tunele, przerzucając nad nimi napowietrzne kładki ukrytych sensów. Wyjeżdżając z Polski odwrócił swoje życie i do końca usiłował odwrócić światło rozumienia od swoich wierszy. Czy odwrócił siebie od siebie?

Na szczęście nie zawsze mu się to udawało. Kłopoty z uchwyceniem całości myślowej *Odwróconego światła*, kłopoty z wieloma szczegółowymi rozwiązaniami w tekstach ostatniego zbioru, utrudniały i wciąż jeszcze utrudniają dotarcie do dziesiątek genialnych wierszy Karpowicza, które się w tym nierozświetlonym buszu nadal ukrywają.

Abstract

Bogusława LATAWIEC,
Poet, Writer

So many years together (in a way)?

The present article is a commentary to the correspondence between Bogusława Latawiec, Edward Balcerzan and Tymoteusz Karpowicz, presented in this issue. The article outlines basic themes of this correspondence, describing a warm friendship between the authors.